

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

4) A ona wdzięczyła się do Siergieja Bolesławicza i niekiedy palące wejrzenie zwracała ku smutnemu, zniechęconemu wszystkiemu młodzieńcowi; wypowiadała śmiało swoje teorie o stanowisku kobiety nowoczesnej, o małżeństwie, o burżuizmie itp., czem wprawiała w zachwyt Siergieja Bolesławicza, ale na Stanisławie, o którego jej głównie chodziło i którego wyłącznie miała na myśli, pragnęła podrażnić i wywołać z nim spór, nie robiło to żadnego wrażenia. Siedział chmuray, zamyślony, obojętny na wszystko, zapatrzonej gdzieś w dal, błądzący duszą. Bóg wie jak daleko, może nawet nie słyszący tego, o czem Aniela mówiła.

Drażniła ją nadzwyczajnie. Już wczoraj wyprowadził ją z cierpliwości, gdy wygłaszane przez nią zdania przyjmował z drwiącym uśmiechem i bynajmniej nie myślał się z nią sprzeczać, ale poprostu z lekceważeniem traktował jej teorie, jako niegodne poważnej dyskusji. To wprawiało ją w gniew. Ona chciałaby tego smutnego młodzieńca przekonać, ożywić, pchnąć w wir walki, a on oto siedzi milczący, zapatrzonej w siebie, obojętny, pozwalający na to, by taki dureń i głupiec, jak koleżski asesor, wygłaszał swoje zachwyty i bił oklaski „pięknej damie”. Jej przecież nie idzie o to, by Siergiej Bolesławicz nią się zachwycił, a jeżeli chciała być dla kogo piękną, to z pewnością nie dla niego, ale dla kogoś innego, a dla kogo, to już jej tajemnica.

Gdy jednak najryzykowniejsze teorie, wygłaszane przez nią, nie potrafiły poruszyć Stanisława i wywołać w nim choćby najłżejszego oporu, wstała z błyszczącymi od gniewu oczyma i, patrząc z pogardą na swego kuzyna z lewej ręki, rzekła:

— Czy pan się dziś nie wyspał?

— W rzeczy samej nie wyspałem się.

— To idźże pan spać, bo lękam się, byś tu przy stole nie zasnął.

To rzekłszy, z wdziękiem podniosła sukienki i nie kiwnąwszy nawet głową koleżskiemu asesorowi, wyszła z minką radosną. Siergiej patrzył za nią i po chwili rzekł:

— Ot sierdita dama!

I powstał, przeciągając się leniwie i zaproponował Stanisławowi, by się przeszli po ogrodzie, na co ten dość niechętnie się zgodził. Szli tedy główną aleją. — Siergiej ciągle gadał niestworzone rzeczy o swoim pobycie w Pitrze, jak Petersburg nazywał, a Stanisław słuchał, nie słuchając, i wcale się nie odzywał.

— Ja wam, pan, ot co powiem. Mnie bardzo podoba się madmazel Aniela, chociaż mnie z kobietami nie szczęści się. Na dniach w Pitrze Konon Iwanowicz mówił, że będzie mnie swatać. On dokazuje, że ja powinien się żenić w co by nie stało. Znalazł jakąś pannę, której nieprzeziemiennie jeszcze tego miesiaca potrzeba wyjść za mąż. Już Konon Iwanowicz przedłożył to jej ojcu, a on odpowiedział: „nu cóż, niechaj przychodzi, zobaczmy”.

Ja sam nie precz od tego próbować, tak próbować! Kanon Iwanowicz mówi, że to dom arystokratyczny, pierwszy sort, a nawet nie po naszych nogach. Ale ot, szczęście, że ich tak przyparło. Przytem co, że oni bogaci, to i dobrze, my i sami z wasami. Ojciec jej w wysokim czynie, tajny czy co, on, że i nieprzeziemienny członek tureckiego komitetu. Bardzo obrazowany i uczony człowiek. Nawet przepaść pieczętował swoich wydań, najwięcej to przeprowadza z francuskiego. Ja nawet widział jedno jego wydanie, bardzo pięknie przeplecione, całe wyzłacane, a na spince jego własny węzeł odciśnięty. Jak napotyka się z jenerałami, to nawet kapelusza nie zdejmuję, a tylko rękę im przeciąga. A co oni jemu znaczą? On i przed ministrem w wasy sobie nie dmucha. Rozjeżdża sobie lichymi końmi w kolasce po mostowej i dzieło z końcem. Za córką ma dać 60.000 rubli czystogonem. Ot co...

W tej chwili doszli do końca ogrodu, gdzie w murze była furtka, prowadząca na gościniec, i w tej furtce okazał się jakiś nieznajomy. Był to młody człowiek z lekkim zarostem na brodzie, bladej, z dwoma dużymi palcami oczyma, z włosami długimi, wydobywającym się z pod miękkiego bandyckiego kapelusza, mocno naciśniętego na oczy. Ubrany był niedbale, zakurzony mocno, a pod szeroką peleryną narzuconą na plecy, dźwigał jakieś zawiniątko. W rękę

trzymał grubą pałkę, widocznie świeżo wyciętą w lesie.

Wszedł do ogrodu, lekko skinął głową i głosem miękkim z akcentem śpiewnym zapytał:

— Przepraszam, czy ta wieś nazywa się Góra?

— Tak! odrzekł Stanisław.

— Czy tutaj jest dwór?

— Tak, a co pan sobie życzy?

— Jaby chciał zobaczyć się z panem Kozłowskim.

— Ja jestem Kozłowski.

— Tak! no to ja się sam przedstawię. Jestem Antoni Wiśniewski ze Lwowa. Moja matka była Kozłowska, Antonina Kozłowska. Mnie doszła wiadomość, że na moją matkę, po jej bracie własnym Teodorze Kozłowskim, spadła sukcesja. Więc tu przyjechał, jako jedyny syn mej matki.

Stanisław wyciągnął do niego rękę:

— Bardzo mi przyjemnie poznać kuzyna. Nie wiedziałem, że ciotka Antonina miała syna...

— A miała... mnie. Mam wszystkie dokumenty poświadczające urzędowo przez cesarsko-królewską ambasadę w Wiedniu.

Mówiąc to, uśmiechał się smutno, patrzył na Stanisława i na Siergieja Bolesławicza i pytał:

— To pan jest moim kuzynem? wolno zapytać jakie nas łączy powinowactwo?

— Bardzo blizkie, mój ojciec Andrzej Kozłowski był bratem rodzonym ciotki Antosi... jesteśmy więc bracia cioteczni.

— Ano tak... bardzo mi miło poznać braciszka.

Siergiej Bolesławicz słuchał tego wszystkiego, marszczył brwi gniewnie, gładził niespokojnie faworyty i mruzczał pod nosem:

— Czort bierz... też tych krewnych moc!...

A tymczasem Wiśniewski ciągle swym śpiewnym i miękkim głosem mówił:

— Cały dzień wczorajszy i całą noc jechałem, a ze stacyi piechotą przyszedłem.

— Czemuż kuzyn nie spytał na stacyi o konie z Gór? Codzień je wysyłam po krewnych.

Taj zabrałby to mnie furman? tu widzę wszystko po pańsku, a ja co? Ja ubogi słuchacz uniwersytetu, gdzie mnie siadać do powozów pańskich! Moja chłopska burka nie pasowałaby z aksamitami pańskimi.

— Kochany bracie — odrzekł na to Stanisław — tu wszystko jest także w części twoje... Wszak wszystko należy do spadku.

— Tak? ano to i dobrze. Ale zmęczony jestem bardzo i głodny. Nie możnaby gdzie spocząć trochę i czem się pokrzepić? Od stacyi droga ciężka, pięć kilometrów, jakem obliczył i błoto po kostki. Patrz pan, jakem się ubłocił.

Wysunął naprzód jedną nogę w bucie ordynaryjnym i zupełnie wykrzywionym, na który spadały obszarpane i w rzeczy samej mocno zabłocone spodnie, i z boku spoglądał na Siergieja Bolesławicza. Ten mruzczał ciągle, wreszcie zawołał:

— Mam honor rekomendować się: Siergiej Bolesławicz Kozłowski, koleżski asesor iz Pieterburga.

— Bardzo mi przyjemnie. Czy pan także kuzyn?

— Ta jakże kuzyn. Moja familia Kozłowski, Siergiej Bolesławicz. Ja tu przyjechał z Pitra... nu, po sukcesy...

— Hm! to widzę bardzo liczna była nasza rodzina. Nieboszczka matka mówiła mi, zdaje się, o czterech braciach i już nie wiem o ilu siostrach. Więc pan jest synem jednego z tych braci? a zatem także moim ciotecznym?

— Da jakże... ciotecznym.

Wtrącił się w tę rozmowę Stanisław:

— Właściwie pan jest synem Bolesława, a żaden z naszych stryjów nie nosił tego imienia. Ale co my tu gadamy. Proszę kuzyna do domu. Zaraz poproszę, żeby ci jeść dali. Pokój kuzyn będzie miał osobny i może sobie wypocząć. Proszę za mną!

Ruszyli ku domowi, Stanisław przodem, za nim koleżski asesor i Wiśniewski. Siergiej oburzył się na uwagę Stanisława, że żaden z braci zmarłego Teodora Kozłowskiego nie miał imienia Bolesław i gadał:

— Da ty pan Stanisław nie mów. Ja że Kozłowski, a skoro wy pan anonsem w Senackich Wiadomościach wezwali wszystkich Kozłowskich, nu to ja i przyjechał. U mnie są dokumenta, posłuszny spiszek, czegoż więcej?

Stanisław nic na to nie odpowiedział, tylko szedł przodem, więc Siergiej zwrócił się do Wiśniewskiego:

— Wy pan z Lemberga?

— Z Lemberga? po polsku to nazywa się Lwów.

— Da... to wszystko równo... w „Nowoje Wremia” zawsze pieczętują Lemberg. Jaze do tego przyzwyczaił się. Tak! tak! to niemiecka nazwa — Lwow to Lwow, to po słowiańsku. Aj pan... ty

nie wiesz, jaka to zapóźniona nacya te Polaki z Przywislina. U nich niema nijakiej progresywnej idei. Same pany i ksiendzy, a chłop to u nich psiakrew. Ja ich znam. Ja czytał Michała Nikiforowicza Katkowa. No, mnie było bardzo smutno jak ja go czytał. Przecież i ja Polak, nu, i dobry Polak. Tu pan trzeba żywej wody, progresu, trzeba żeby się rodaki moje ozbyły marzeń. *Point des reveries*. Ha! ha! ha! Co? a?

Wiśniewski słuchał tych słów, a na jego twarzy malowało się zdziwienie, spoglądał z boku na kościstą postać koleżskiego asesora i coraz bardziej odsuwał się od niego i nic nie mówił, ale pałką czegoś zawzięcie machał i ścinał zielska po drodze.

Na szczęście przybyli już do werandy i Stanisław, poprosiwszy gościa, żeby usiadł, pobiegł do wnętrza. Wiśniewski obejrzał się dokoła, złożył w kacie swoje zawiniątko, — kij, swą pelerynę i bandycki kapelusz i bujne długie włosy, spadające mu na czoło, odgarnął ręką. Usiadł, wzdychając głośno, wyciągnął nogi i szepnął:

— Zmęczyłem się!

Niebawem służący przyniósł przekąski i wódkę i patrzył nieco zdziwiony na nędznie ubraną, zakurzoną postać nowo przybyłego, który w tem pańskim otoczeniu wyglądał nieco dziwnie. Siergiej Bolesławicz, jakkolwiek był już po śniadaniu, zabrał się do wódki, nalał sobie kielich potężny i podnosząc go, zawołał:

— Nu, wnoszę toast za progres Prywislina! Ja tu, pan, przywiózł cały czemodan nowych idei. Wy, pan, ze zgniłego zachodu, zapadnik, wy, pogadawszy ze mną, uwidzicie, co to są źródła żywej wody.

Wypił duszkiem żywą wodę, obtarł bokobrody i zabrał się do jedzenia, powtarzając ciągle kieliszki. Wiśniewski jadł, patrzył na niego, ale nic nie mówił. Dla niego świat to był nowy i zgoła nieznany.

— Pan przywiózł nowe idee z Petersburga? — pytał z pewnym ironicznie dobrotliwym uśmiechem

— Da, z Pitra, wy, pan, nie znanie, co tam jest czysty kipiatak idei...

— Co? co to jest kipiatak?

Tymczasem wszedł Stanisław i żywo zajął się swoim nieznany kuzynem, przerywając koleżskiemu asesorowi wykład, co to jest „kipiatak” i jakie idee przywiózł z Petersburga. Niebawem zjawiała się i panna Aniela, zaciekawiona przybyciem nowego spadkobiercy i z pod oka przypatrywała mu się ciekawie i zaraz też wdała się z nim w rozmowę tak interesującą, że tylko oboje mówili, zapominając zupełnie o obecności Siergieja Bolesławicza i Stanisława. Siergiej zrazu wtrącał się w ich rozmowę, ale widząc, że słów jego nie podnoszą, na pytania nie odpowiadają, zamknął z rozpacz, wypił wszystką „oczyszczoną” i siedział chmurny, nadasy, paląc „papierosku”, jak mówił.

Stanisław też nie odzywał się, zapominając o całym otoczeniu, pogrążony w swe melancholijne marzenia. I byłby tak siedział zapewne długo, gdyby nie pojawienie się Orczykiewicza, który spowodował ocknięcie się przyszłego dziedzica Gór. Zeszedł z werandy do owczarza, pytając czego chce, na co ten odrzekł:

— A cóż, panie, będzie z tą wierzbą?

VI.

— Świat, proszę pani, jest źle urządzony, trzeba go konieczne lepiej, a nadewszystko mądrzej i sprawiedliwiej uorganizować.

Tak mówił młody Lwowianin, Antoni Wiśniewski, do panny Anieli, przechadzając się z nią po alei, wysadzonej starymi lipami w ogrodzie dworskim. Szedł z głową spuszczoną, z oczami wlepionymi w ziemię, z włosami spadającymi mu na ramiona, z twarzą poety lub męczennika, opierając się na swej sękatej lasce, cały skupiony w sobie, pochłonięty zupełnie i jedynie myślą o reformie tego źle urządzonego świata. A przecież obok niego szła dziewczyna ładna, dysząca życiem i pragnąca skorzystać z tego życia, zdająca się mówić: Urządzajcie świat jak chcecie, ja jestem miłość i mnie z tronu istnienia nigdy nie zwalicie! ja wszystko pokonam, ja wszystko przeżyję, świat wasz może runąć, ale ja żyć będę, bom jest nieśmiertelna!

Posuwała się wolno koło niego w swej jasnej perkalowej sukience, zbudowana jak Wenus, z głową wzniesioną w górę, lekka, zgrabna, pełna wdzięku niewieściego, tworząc dziwny kontrast swą dumną i wyzywającą postawą ze zgarbioną mizerną, chudą figurą Wiśniewskiego.

Słuchała z zajęciem jego teorii o złem urządzeniu świata, wygłaszanych niskim, męzkim, śpiewnym głosem, a nad nimi unosiło się jasnobłękitne niebo lipcowe, od pół szedł zapach zbóż, lipy sypały im